

daje Błogosławionej między niewiastami. I w tej chwili przez pośrednictwo Marji, św. Jan Chrzciciel, będący jeszcze w łonie swej matki, odebrał ową łaskę Ducha św., którą zapowiedział już Archanioł Gabryel Zacharyaszowi — dusza jego uwolniona została od grzechu pierworodnego. Widzi najświętsza Panna, że Bóg miłosierny znów zniża się do ziemi, że Królestwo Boże wstępuje na świat i zbliża się chwila pojednania człowieka z Bogiem, a Ona, pokorna służebnica pańska, Pośredniczką ma być i Współodkupicielką rodzaju ludzkiego. Więc radość niezmierna przepelnia Jej duszę, a z serca wdzięcznego wzbija się pieśń ku niebiosom: „Wielbi dusza moja pana...” — „Magnificat!”

W kościele odprawiają się uroczyste nieszpory. Przebrzmiały już psalmy Dawidowe, odśpiewano hymn, sławiący tajemnicę dnia świętego, teraz jeden z kapłanów intonuje „Magnificat”. Celebrujący wstępuje po stopniach ołtarza w otoczeniu asystujących mu duchownych i wzięwszy do rąk srebrną kadzielnicę, okadza ołtarz Pański. Haczą organy, a pod strop świątyni wzbija się pieśń uwielbienia: „I rozradował się duch mój w Bogu, Zbawicielu moim!” — „Magnificat!”

I w skromnym wiejskim kościółku jarzy się światło na ołtarzu, ludzie przyszedli na nieszpory, boć to niedziela, dzień święty. I tam płynie ku niebu pieśń Bogarodzicy. Powtórzyli wszyscy z kłęczek i śpiewają z zapalem:

Uwielbiaj, duszo moja, sławę Pana swego,
Chwal Boga Stworzyciela, tak bardzo dobrego,
„To Magnificat!”

Przedziwna pieśń. niema dnia, w którym by jej Kościół nie śpiewał. Dźwięczy echem tryumfu i wesela w dniach chwaly, w wiekie uroczystości kościelne, ale nie milknie i wtedy, gdy smutne święcimy obrzędy. Nawet w Wielki Piątek, w obliczu krzyża, na którym skonał Zbawiciel, intonuje Kościół radosny hymn Bogarodzicy. I słusznie. Bo i Matka Najświętsza tych uczuć, które ożywiały Jej serce w dniu Nawiedzenia, gdy pierwsze zabrzmiało „Magnificat”, nie porzuciła nigdy. Stojąc pod krzyżem, pogrążona w boleści, gotowa była powtórzyć wszystko raz jeszcze, słowo za słowem. Przecież sprawiedliwości Bożej stałe się wreszcie zadoseć i zbawienie ludzi zapewnione — a to było celem Jej życia i życia Jej Syna.

To też nie dziwny się, że nawet przy nabożeństwie żalobnym nie brak „Magnificat”. Gdy dusza sprawiedliwego człowieka opuszcza ziemski padół, gdy to, co znikome, zamienia na to, co wieczne, czyż nie godzi się chwalić Boga i dziękować Mu?

Szczęśliwe serca nastrojone zawsze na nutę „Magnificat”. Pokój w nich panuje i pogoda której nie zamają przeciwności życia. To serca prawdziwych chrześcijan, serca bohaterskie!

Krótkie uwagi.

Nie ten bogaty, co ma wiele pieniędzy, ale ten, kto ma wiele zasług!

Nie ten ubogi, co nic nie ma, ale ten, co ma grzechy!

Lepiej być skrzywdzonym, jak skrzywdzić
Nie lękaj się sądów ludzkich, ale lękaj się sądu Boskiego!

Jak cię ludzie chwala, nie wynoś się, jak cię gania, nie troszcz się; jesteś tam, czem jesteś w oczach Boskich!

Przy każdej sprawie nie pytaj się, co ludzie na to powiedzą, ale co Bóg na to powie!

Życie krótkie — a wieczność długa!

Cały świat tyle złego ci nie uczyni, co jeden grzech!

Nie zazdrość bogatszym, a nie gardź uboższymi!

Kto się upokarza, tego Bóg wywyższy, a kto się wywyższa tego Bóg upokorzy.

Kochaj bliźniego, jak siebie samego, a kto mówi, że Boga kocha, a bliźniego nienawidzi — klameką jest!

Rozmowa ze skowronkiem.

Czy o poranku

Kwiałów modlitwę i ziemi westchnienia
Zanosisz niebu, ty zorzy kochanku,
W dziękczynne złożone pienia?

Czyś ty jest gońcem,

Co życiu ziemskiemu za posta służy —
I by je wzbudzić zlatuje przed słońcem,
Dzień dobry niosąc różę?

Czy może ciebie

Spragniona tam skiba, ptaszyno miła —
Po chłodny deszczyk do chmuryna niebie,
Majowym rankiem wysyła?

A może z gniazdka

Patrząc na nocną całą w gwiazdziste stada,
Wzlatujesz spojrzeć, jak ostatnia gwiazdka
Cicho za góry zapada?..

— Ani ja słońcu, ni ziemi nie służę,
Ani za gwiazdą wznoszę się pod niebo,
Śpiewam, bo sercu śpiewać jest potrzeba,
Lece — by Boga zobaczyć tam w górze!

I gdy się niebo przed słońcem rozchyli,

A blaski buchną, jak fala błękitem,

Ja zajrzę tylko i w tej chwili właśnie

Pieśń ma z obłoków upada — zachwytem!

Czy tak się godzi?

W ostatnich czasach rozpowszechnił się zwyczaj, że zabawę taneczną odkłada się zazwyczaj na dzień sobotni, jako, że następnego dnia nie potrzeba wstawać do pracy. Do pracy nie potrzeba, ale w niedzielę trzeba przecież iść do kościoła i podziękować Bogu za cały ubiegły tydzień. Ażeby pójść i pomodlić się gorliwie, musi mieć człowiek odpowiedni nastrój, nie mówiąc już o tem, że zmęczony dobrze modlić się nie będzie.

(Ciąg dalszy na 4-tej stronie.)

Szkielet na Łesznie.

Powieść

przez

3) **Walerego Przyberowskiego.**

(Ciąg dalszy).

— I to mi mówi młody szłowiek, dwadzieścia kilka wiosen zaledwie liczący przed którym cały świat, ten wielki, olbrzymi świat ludzki, stoi otworem. Więc cóż to za młodzież jest teraz, bogowie! czyż nie masz w nas ani jednego nerwu, ani jednej kropelki tego, co ludzie nazywają ciekawością? Nie, młodzieńcze, kapłanie Eskulapa, uczniu Hipokratasa, jak cię ten gupiec Wincenty nazywa, nie! ciekawość jest pierwszym stopniem do doskonałości, matką wszystkich wielkich dzieł, odkryć i wynalasków ludzkich. Ale ehożmy, bo widzę, że ten gazetciarz Goldsing pragnie także dostać się środka i pertraktacye prowadzi z policją!

To rzekłszy, ruszył swym drobnym, zdumie wając lekkim w takiej becsee sadła, krokiem ku grupie policjantów, przed którymi stał reporter z cygarem w ustach i mówił:

— „Enfin“, słowo honoru dają... że... prawdę powiedziawszy... bo to panowie widzicie... wcale nie rozumiem...

— Dzień dobry! — mruknął reporter i wyciągnął swą dużą, brzydka łapę, którą wprzód obtarł o surdut, do przybywającego Heliglasa.

— O cóż to panu idzie? — spytał ten ostatni.

— „Ma foi...“ wystaw pan sobie... że prawdę powiedziawszy... ei panowie... Słowo honoru dają... wcale nierozumiem...

Heliglas wydobył pudełko z cukierkami, otworzył i podając je reporterowi, rzekł:

— Może pan spróbujesz?

— Owszem.

I sięgnął palcowatymi palcami po kilka cukierków, poczem Heliglas wrócił się do policjantów i skłoniwszy im się grzesznie, rzekł:

Mogę panów poczęstować temi słodyczami? Zapewniam panów, że to wybornie robi na nudy, na wszelkie humory i nakoniec na żołądek.

Policjanci z uśmiechem spoglądali na dziwną figurę, stojącą przed nimi, wzięli po parę cukierków. Uskuteczniwszy to, Heliglas starannie zamknął pudełko, schował do kieszeni i zwracając się do reportera, rzekł:

— Teraz, szanowny nasz redaktorze racz powiedzieć, o co idzie? Tylko — tu wydobył śliczny złoty zegarek i patrząc niego, mówił — ostrzegam pana z jedną rzeczą. Teraz mamy godzinę piątą, a ja punktualnie od lat dwudziestu o godzinie 8 -ej idę do restauracji i tam jem kolację. Jeżeli więc szanowny redaktor nie przyspieszy rwącego potoku swej wymowy, ja mogę się spóźnić, choć to prawda, teraz jest jeszcze dzień o ósmej. O cóż więc idzie?

O to, że... enfin... ei panowie, nie chcą mię... ma foi... puścić do środka.

— A! to jest tylko nieporozumienie, proste nieporozumienie. Szanowni panowie! — tu zdjął z głowy swój biały kapelusz i kłaniał się policjantom — ja jestem Ryszard Lwie serce Heliglas, niegdyś, niestety! sic transit gloria mundi! sławny muzyk wirtuoz, dziś emeryt do usług szcigodnych panów. To... — tu wskazał na reportera — jest pan Aleksander Goldsing, znany i powszechnie ceniony nasz redaktor, to zaś — obrócił się ku stojącemu opodal młodzieńcowi — pan Władysław Zubr, lekarz fakultetu warszawskiego, słonco wshodzące nauki, jutrsenka budząca wielkie nadzieje.

Jeszcze raz z powagą skłonił się policjantom włożył swój biały kapelusz na głowę.

— Eafin — mruknął reporter, nie wyjmując cygara z ust — pragnąłbym wiedzieć...

— No, to i dobrze — ozwie się jeden z policjantów — cóż panowie chcą?

— Czego my chcemy, o szcigodny reprezentancie władzy! chcemy, poprostu ze względów wyższych dostać się do tego domu i obejrzeć wykopany z ziemi szkielet!

— Nie można — odparł spokojnie policjant.

Heliglas jeszcze raz dobył pudełka z cukierkami obdzielił nimi znów obecnych, przyzem reporter Bóg wie z czego śmiać się zaczął i mówił:

— To dziwne, ma foi... ja jestem zawsze... wiedziacie panowie... dobrze z władza... więc słowu honoru...

Heliglas rozpoczął dalsze pertraktacje z policjantami i po dość długim sporze, w rezultacie postawił na swoim i na ciele dwóch towarzyszy wkroczył tryumfalnie do środka. Gdy się już znaleźli w pierwszym pokoju na lewo od wejścia reporter rzekł wyjmując cygaro z ust i spluwając:

— To wszystko dobrze... ale... słowo honoru tu dużo pokoi... gdzież tedy ten szkielet?

O! nie lękaj się latarnie mądrej — zawołał Heliglas — ja cię zaprowadzę. Chodźcie panowie tylko za mną.

— Czyż pan znasz ten dom? — zapytał lekarz Zubr.

Na to pytanie Heliglas nagle zatrzymał się i szybkim ruchem naciągnął biały kapelusz na oczy. Twarz jego dotąd uśmiechnięta, nagle na krótką jak błyskawica chwilę, spoważniała, wielkie czarne oczy rozwarły się szeroko, a usta czerwone zadrgały. Opamiętał się jednak zaraz i uśmiechając się rzekł:

— Nie, młodzieńcze, ja tego domu nie znam. Nie byłem tu nigdy. Jeżeli mówię, że was zaprowadzę do owego... owego szkieletu, to dlatego, że ja Ryszard Lwie serce Heliglas mam instykt, ową cudowną siłę natury, która każe boeianom z początkami jesieni ze strzechy chłopca wolskiego przenosić się na szczyty, piramid, z których czterdzieści wieków patrzy na nędzny, ten świat.

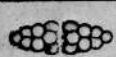
Istny potok słów lał się z jego ust, jak gdyby chciał tą wymową zatrząść swoje chwilowe zmieszanie. Był jednak widocznie niespokojny oczys mu latały, ręka nerwowo laską uderzała o podłogę, a usta wciąż lekko drgały.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

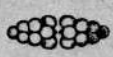
Wyobraźmy sobie ludzi, którzy do czarnej rano tądzyli na zabawie, może nawet nie pogardzali trunkami, chociażby nawet zwlekli się tacy zabawowicie na nabożeństwo o godzinie 12-tej, jakąż będzie ich modlitwa. W uszach im szumi jasna melodia tancerna, a zmęczone nogi szukają wygodnego oparcia.

I to ma być praktykujący chrześcijanin? Czyż nie lepiej urządź sobie zabawę w niedzielę po południu a zacząć ją o godzinie 5-tej, mając do godziny 12-tej w nocy siedem godzin czasu na zabawę. W ten sposób i Świec święty zostanie uszanowany, a poprzedzisz spać o dwunastej i w dzień następny staniesz się do pracy wypoczęty.

I tu znów piękne zadanie dla kobiet katolickich. Powinny się one sprzeciwić kategorycznie wszelkim sobotnim balom i zabawom, które mogłyby stać się przyczyną odcięcia od nabożeństw niedzielnych. Zabawa wprawdzie jest potrzebna i pożyteczna, ale tylko wówczas jeżeli można ją pogodzić z obowiązkami.



ROZMAITOŚCI



Brat zabija ze zazdrości siostrę.

Szpital św. Rocha w Nisei stał się widownią krwawego wypadku, który rzuca ciekawe światło na niezgłębione tajniki natury ludzkiej. Brat zabił swoją siostrę, powędrowany zazdrością.

Historja tego wypadku przedstawia się następująco:

Do Nisei przybył niedawno mechanik włoski, Piotr Barnato, liczący lat 41, w towarzystwie siostry Teresy Barnato, liczącej lat 24 i swej bratowej. W kilka dni potem panna Teresa zachorowała na krwotok i przyjęta została do szpitala św. Rocha. Brat odwiedzał ją bardzo często, raz w towarzystwie swojej bratowej, to znów w towarzystwie jakiegoś znajomego młodego człowieka.

Niedawno wszyscy troje zjawili się w szpitalu i zostali wpuszczeni do chorej. Po półgodzinnej pogawędce, Piotr Barnato poprosił bratową i znajomego przyjaciela, aby wyszli, ponieważ musi porozmawiać z siostrą na osobności. Zostawszy sam z siostrą rozmawiał z nią trochę przez chwilę. Nagle między nim a siostrą wywiązała się żywsza wymiana słów. W tej chwili Barnato wyjął rewolwer i oddał strzał do siostry, kładąc ją trugem na miejscu. Potem strzelił do siebie, raniąc się ciężko.

Geneza tego dramatu jest następująca: Piotr Barnato przyjechał do Francji z Włoch, gdzie porzucił żonę i troje dzieci. We Francji żył od 2 lat i pracował jako mechanik. Na usilne naglegania siostra jego Teresa, przyjechała do niego do Francji, z bratem i z bratową. Przebywała rok we Francji gdy nagle zachorowała ciężko na krwotok i pojechała do Nisei, aby się leczyć. Tutaj w restauracji poznała młodego człowieka. Później była zmuszona pójść do szpitala św. Rocha. Wtedy przyjechał Piotr do Nisei. Dowiedziawszy się zapewne o miłości swej siostry do Fausta Bonfantiego, wpadł w szal zazdrości i zemścił się pozabawiając ją życia.

Piotr Barnato zmarł wskutek ciężkiej rany.

Wymiana żon.

Nie przez omyłkę, jak to się dzieje w pewnych farsach francuskich, lecz z premedytacją, po przeprowadzonych układach obopólnych, dwaj przyjaciele zamienili z sobą swoje młode żony i z tego powodu stanęli obydwaj przed sądem karnym.

A stało się to w Ameryce, w stanie Virginia, w mieście Richmond. Jednym z bohaterów tego prawdziwego zdarzenia jest właściciel dóbr i przemysłowiec Wiljam Reese, drugim inżynier Wiktor Marino.

Inżynier Marino zajęty w fabrykach swego przyjaciela Williama poślubił przed czterema laty uroszą młodą neapolitankę, którą sprowadził z Włoch. A bogaty Wiljam Reese ożenił się z bogatą amerykańką, również bardzo urodziwą.

Żony obydwu przyjaciół żyły w największej zgodzie z początku. Potem stało się, że pan Reese zakochał się w młodej Włoszce i odtąd zaczęły się nieporozumienia.

Pewnego dnia zaproponował W. Reese swemu przyjacielowi, inż. Marino, aby zamienili z sobą żony. Reese był zapalonym sportowcem, pani Marino namiętnie lubiła spory, zwłaszcza doskonale jeździła konno, gdy przeciwnie pani Reese po całych dniach leżała w fotelu bujającym lub na szeslongu i czytała.

Inżynier irytował się sportami swej małżonki, a fabrykanta niecierpliwiła „wazona” małżonka zaszytana w książkach i gazetach.

Zamiana miała nastąpić na próbie. Po próbie ewentualnie nastąpić mógł by rozwód, tak ogiewała umowa.

Żony uważały to za żart i dały swe zezwolenie.

Gdy żart przerodził się w sprawę serio, pani Reese, która zda się kochała męża, opuściła wspólny dom i wysłała anonim do prokuratorji. Rezultatem anonimu był proces karny. Sąd orzekł się tym razem dość pobłażliwym. Williama Reese skazano na 2 miesiące, inżyniera Marino na miesiąc aresztu.



Wesoły kącik.



Kobieta dopiero później dowiaduje się, co mąż jej istotnie o niej myślał, gdy się o jej węglej starał.

* * *

Kobieta rzuciła wronem w męża trafiła w lustro, które się rozbiło i płacze z rozpacz: „Co za nieszczęście!”

* * *

On się nie pozna.

— Kupiłam sobie sliczną suknię w modnym obecnie jasnym kolorze.

— A cóż mąż na to?

— Czy on się na tem pozna? On zawsze wszystko widzi w ciemnych kolorach.

* * *

Dobrafrada.

Chory: Panie doktorze, napilem się trucizny zamiast lekarstwa! Co robić?

Doktor: Testament.